



POLSKA SZTAFETA

Numer 4 / 2023



www.polskasztafeta.pl



Karolina Piechowicz:
Bardzo lubię
zwycięzać **2-3**

Ks. Paweł Łukaszka:
Znałem najlepszych
polskich zawodników
i doświadczałem szacunku,
który ludzie mają dla górali **4-5**

**Breakdance i deskorolka na
igrzyskach **6-7****

**Opowieść o 18-latku, który
wygrał Rajd Dakar **8-9****

Anna Puławska:
Emocje z igrzysk zostają
do końca życia **10-11**

**Zdzisław Hoffmann –
jego rekord Polski
w trójskoku ma już
38 lat **12-13****

Dominik Kopec:
Každy sport buduje
charakter
i samodyscyplinę **16**

ZRÓDŁO: PAP / PA

**Pół wieku temu polscy piłkarze uciszyli
angielskich kibiców na Wembley**

14-15

Będę gryzła wodę, żeby poprawić wyniki

Rozmowa z **Karoliną Piechowicz**, multimedalistką mistrzostw świata juniorek w pływaniu



ZRÓDŁO: ARCHIWUM PRYWATNE



Karolina Piechowicz ze srebrnym medalem mistrzostw Europy w pływaniu, Belgrad 2023 r.

W lipcu wróciłaś z mistrzostw Europy w Belgradzie ze srebrnym medalem. Jak się z tym czułaś?
Fantastycznie. Ale też cieszyłam się, że w sierpniu mam wakacje, bo to był dla mnie ciężki sezon.

Oglądałaś wywiad, którego udzieliłaś po mistrzostwach świata w Limie w 2022 r., po zdobyciu trzech złotych medali. Masz 17 lat, a mówisz świetnie po angielsku, zero tremy.

Ten wywiad przeprowadziła ze mną dziennikarka, tylko mistrzyni świata w pływaniu z Jamajki. Nie wiedziałam tego wtedy – może to i lepiej, bo bym się zestresowała. A tak czułam się swobodnie. Wypowiedzi publiczne, rozmowy z dziennikarzami niespecjalnie mnie stresują.

Film z tym wywiadem nosi tytuł „New Rising Star”, czyli „Nowa wschodząca gwiazda”.

Kiedy zobaczyłam, że wstawił go na oficjalnym profilu zawodów na Instagramie, cieszyłam się. To profil z ogromną liczbą followerów. Nawet mistrzyni olimpijska na 100 m stylem klasycznym polubiła ten post! To było naprawdę świetne uczucie. Natomiast niespecjalnie lubię czytać o sobie ani siebie oglądać. Kiedy mama przynosi gazetę do domu, a tam są moje zdjęcia czy wypowiedzi, nie chcę, żeby mi je pokazywała.

Dlaczego?

Nie wiem. Wiele osób mówi mi, że jestem skromna jak na to, co osiągnęłam. Nie lubię się chwalić.

Spodziewałaś się takich sukcesów, kiedy zaczynałaś?

Szczerze mówiąc, nie. W moim starym klubie w Szczytnie nie byłam wybitną zawodniczką. Wyniki przyszły dużo później, w liceum. Ale kiedy się już zaczęły, wszystko poszło bardzo szybko, wręcz eksplodowało. Poprawiałam się błyskawicznie i wtedy zaczęłam wierzyć w swoje umiejętności. Kiedy jechałam do Limy, wiedziałam, że może być dobrze, chociaż nie spodziewałam się, że aż tak. Na pewno dużo pomógł mi fakt, że na te zawody nie przyjechały jed-

ne z najlepszych zawodniczek, np. rekordzistka świata na 50 m stylem klasycznym. Zostało dużo pływaków na zbliżonym do mojego poziomie i walka do samego końca była wyrównana. Miałam z kim się ścigać i to mnie podkręciło.

A wszystko zaczęło się na basenie w Szczytnie, kiedy miałaś sześć-siedem lat.

Sześć. Wtedy zaczęłam chodzić na basen, potem zapisałam się do sekcji pływackiej.

Dlaczego pływanie?

Może dlatego, że mój starszy brat pływał i zawsze oglądałam go z trybun. A moim pierwszym nauczycielem pływania był mój tata. Kiedyś pływał i zaszczylił mi pasję do tego sportu. Zawsze w niedzielę chodziliśmy na basen, ścigaliśmy się. Bardzo się cieszył z moich sukcesów. Pamiętam, kiedy zdobyłam mój pierwszy złoty medal mistrzostw Polski jako czternastolatka – myślałam, że serce mu wyskoczy ze szczęścia. Bardziej wspominam jego radość niż fakt, że to był mój pierwszy złoty medal.

Pochodzisz z małej miejscowości pod Szczytnem.

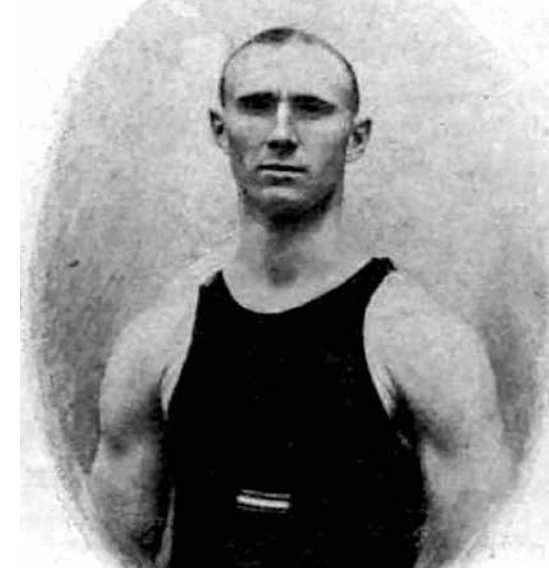
Trudno zaczynać sportową karierę w takim miejscu?
Na pewno trudniej niż w dużym mieście. W wielu mniejszych miastach nie ma dobrej siłowni. W Szczytnie nie ma też świetnego basenu, jedynie 25 m. Ale przecież Otylia Jędrzejczak, nasza mistrzyni, także pochodziła z małej miejscowości i w takiej zaczynała pływać.

Tobie również to nie przeszkodziło.

Nie, bo mieliśmy świetną sekcję, doskonały zespół, dobrą atmosferę. I wspaniałego trenera, Sławka Szczerbala. Od początku chyba widział we mnie potencjał. Nawet wtedy, kiedy pływałam na brodziku. Potem przyjął mnie do swojej grupy. Wiadomo, byłam dzieckiem, nie zawsze starałam się na 100%, czasem zawałam na treningach. Jednak nigdy nie traktował mnie bardzo surowo. Od piątej klasy miałam po dwa treningi dziennie, rano i po południu, a w międzyczasie szkoła. Utrzymywałam świetną

CZY WIECIE, ŻE...

...podczas igrzysk olimpijskich w 1904 roku w Saint Louis w USA dystansy pływackie mierzone były w jardach. 50 jardów stylem dowolnym równało się 45,7 m, 100 jardów stylem dowolnym i grzbietowym wynosiło 91,4 m. Wyścigi na 220, 440 i 880 jardów stylem dowolnym liczyły odpowiednio 201, 402 i 804 m. Pływano też na dystansie 1 mili, który miał długość 1609 m. Sztafeta 4 × 50 jardów rozgrywana była na dystansie 4 × 45,7 m.



Zoltán Halmai – złoty medalista na dystansach 50 i 100 jardów stylem dowolnym na igrzyskach w Saint Louis.

ZRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

średnią, mimo to wcale nie czułam zmęczenia: potrafiłam wrócić z drugiego treningu i wyjść jeszcze ze znajomymi. Problemy zaczęły się dopiero w liceum w Olsztynie.

Co się wydarzyło?

To był trudny czas, bo w lecie 2020 r., tuż przed tym, jak poszłam do liceum, zmarł mój tata. Później pojawiła się wiadomość, że zamykają basen, więc musiałam szybko podjąć decyzję. Miałam 15 lat i przenieśliśmy się do Olsztyna, w którym nie znałam niemal nikogo. Niestety, nie było nas stać na to, żeby mama przeprowadziła się ze mną, więc mieszkałam najpierw ze starszym bratem, a potem na stacjach. Było ciężko, ale przez tempo życia nie miałam czasu na rozmyślanie. W domu troszeczkę mnie rozpieszczano, w kuchni niewiele potrafiłam. A kiedy mieszkałam z moim bratem i jego dziewczyną, musiałam i sprzątać, i czasem coś ugotować. No i nauczyć się żyć wspólnie. To była dla mnie szkoła dojrzałości.

Wtedy też pojawiły się sukcesy, jeden za drugim. Najpierw brązowe medale na mistrzostwach Polski...

Najbardziej się wtedy cieszyłam z kwalifikacji na mistrzostwa Europy juniorów. A rok 2021 okazał się dla mnie przełomowy. Miałam w tym czasie trochę problemów zdrowotnych i na treningach trudno mi było dać z siebie wszystko. Jednak udało mi się je przezwyciężyć, a moje wyniki poprawiały się z występu na występ. W 2021 r. na mistrzostwach Europy w Rzymie udało mi się zejść z 1 min 12 s na 1 min 8 s.

Wywalczyłaś brązowy medal mistrzostw Europy i poprawiłaś rekord Polski w kategorii 16 i 17 lat na 100 m stylem klasycznym.

To były moje pierwsze duże, międzynarodowe zawody. Czułam się tam bardzo dobrze, bo nikt nie wiązał ze mną dużych nadziei medalowych. Wiedziałam, że nie mam nic do stracenia, mogę jedynie coś zyskać, dlatego nie czułam presji.

Wówczas miałaś już nowych trenerów: Gabrięłę Wójtowicz, a potem Bartosza Staneckiego.

Tak. Dziś trenuję z Bartkiem w Olsztynie.

Mieliście również przygotowanie mentalne?

Tak, i na pewno pomogło mi to w sezonie letnim 2021 r., kiedy byłam słaba psychicznie. Później, kiedy przyszedły sukcesy, już nie potrzebowałam pomocy. Teraz dużo klubów ma specjalistów od coachingu mentalnego.

Jak wygląda taki coaching?

To m.in. ćwiczenia do zrobienia, np. wypisz kilka rzeczy, z których jesteś dumna albo które dobrze ci poszły w danym dniu, a potem czytaj to sobie głośno. Chodzi o to, żeby podbudować poczucie własnej wartości.



Medalistki mistrzostw Europy w Belgradzie. Pierwsza z lewej – Karolina Piechowicz.

A miałaś momenty, że się wahałaś albo zastanawiałaś, czy idziesz dobrą drogą?

Takie dylematy mam cały czas. Zastanawiam się, czy łączyć całe swoje życie ze sportem. Prawda jest taka, że trzeba w to zainwestować trochę pieniędzy. Są oczywiście pieniądze ze stypendiów. Jednak te ze startów nie są duże. Imprezy międzynarodowe sponsorują związki, ale ogólnopolskie nie, a koszt to ok. 1500 zł.

Reklamodawcy nie odezwali się po twoich sukcesach?

Nie, pływanie jest niszym sportem. Trzeba być naprawdę megagwiazdą, żeby reklamodawcy sami przyszli do zawodnika.

W przyszłym roku matura. Co dalej?

Myślę o studiach, ale raczej niezwiązanych ze sportem. Marzą mi się studia z kryminologii w Stanach Zjednoczonych. Zawsze marzyłam o pracy w policji, analizie

śladów na miejscu zbrodni. Mogłabym też być czymś menadżerem.

Mówiłyśmy o mistrzostwach świata i o zdobytym niedawno srebrnym medalu na mistrzostwach Europy w Belgradzie. Co będzie następane?

Marzę o kwalifikacji olimpijskiej do Paryża 2024, choć wiem, że trochę brakuje mi do minimum. Zobaczymy. Chcę cały czas trenować i poprawiać wyniki. Będę gryzła wodę, żeby to zrobić w tym roku.

Co jest dla ciebie najlepszą motywacją?

Bardzo lubię zwyciężać. Od kiedy zdobyłam medal, wiem, że jestem w czymś najlepsza. Mam dobre wyniki i nie byłabym w stanie nikomu tego oddać. Podłamałoby mnie, gdyby nagle jakaś juniorka zaczęła pływać szybciej ode mnie. Teraz już wchodzi w wiek seniorski, więc rywalizacja będzie jeszcze bardziej ciężka. Będę walczyć dalej.

Największe sukcesy Karoliny Piechowicz:

- 2019, mistrzostwa Polski U14: złoto (200 m stylem klasycznym) i srebro (100 m stylem klasycznym)
- 2020, mistrzostwa Polski: 3 × brąz (50 m, 100 m i 200 m stylem klasycznym)
- 2021, mistrzostwa Europy w Rzymie: brąz (100 m stylem klasycznym)
- 2022, mistrzostwa świata w Limie: 3 × złoto (50 m, 100 m, 4 × 100 m sztafeta mieszana), brąz (4 × 100 m sztafeta kobiet)
- 2023, mistrzostwa Europy w Belgradzie: srebro (50 m stylem klasycznym)

Prawdziwie wielcy zawodnicy rozumieją, że na sukces składają się praca, wysiłek i poświęcenie całej drużyny

Rozmowa z ks. Pawłem Łukaszka, olimpijczykiem z Lake Placid, duszpasterzem

Swoją przygodę ze sportem zaczynał Ksiądz w rodzinnym mieście – Nowym Targu. Jak wyglądało wtedy sportowe życie na Podhalu?

Nie mieliśmy tu wówczas innych dyscyplin sportu na takim poziomie jak hokej. Zresztą urodziłem się niedaleko lodowiska i wybór był dla mnie oczywisty. Hala lodowa – sztuczne lodowisko bez zadaszenia – stanowiła w tamtym czasie centrum kultury sportowej. Kiedy się urodziłem, drużyna Podhala Nowy Targ dochodziła do szczytu formy: już cztery lata później, w 1966 r., zdobyła pierwszy tytuł mistrza Polski. To było wielkie wydarzenie dla tak małego miasta. Górale budzili powszechny szacunek, bo na Podhalu żyło się biednie i wszystko wymagało większego wysiłku, ale nikt się nie spodziewał, że nasz zespół wyprzedzi drużyny z Katowic czy Warszawy.

Ta historia pokazuje, że małe miasto dzięki zaangażowaniu ludzi o wielkich sercach potrafiło zorganizować drużynę, która wspięła się na szczyt i przez wiele lat utrzymywała się w ścisłej czołówce. To efekt m.in. wielu lat ciężkiej pracy z młodzieżą – bo trzeba pamiętać, że w tamtych czasach nie sprowadzano zawodników, nie kupowano ich z innych klubów. W Nowym Targu powstało wielkie środowisko hokejowe, którego częścią się stałem. Jestem za to niezmiernie wdzięczny Bożej Opatrzności, bo mogłem spotkać wybitnych hokeistów tamtych czasów, a nawet z nimi trenować i grać! Znałem najlepszych polskich zawodników i doświadczałem szacunku, który ludzie mają dla górali i Podhala.

Jak w tych czasach wyglądał rozwój zawodnika?

Warunki były trudne, ale człowiek cieszył się z najmniejszego drobiazgu – choćby używanego kija albo przechodzonych łyżew. Chętnych do gry było bardzo dużo, przy lodowisku powstała nawet klasa sportowa: w Szkole Podstawowej nr 1 im. Tadeusza Kościuszki,



Ksiądz Paweł Łukaszka w bramce nowotarskiego Podhala.

FOT. GRZEGOŻ MOKOT / PAP

CZY WIECIE, ŻE...

...Polacy biorą udział w zimowych igrzyskach olimpijskich od początku ich istnienia, czyli od 1924 roku. Polska jest jednym z dwunastu krajów, które wzięły udział we wszystkich zimowych igrzyskach. Pierwszy medal (brązowy) dla Polski zdobył Franciszek Gąsienica Groń w kombinacji norweskiej podczas igrzysk w 1956 roku w Cortina d'Ampezzo. Był to pierwszy medal w tej dyscyplinie zdobyty przez narciarza spoza Skandynawii.



Franciszek Gąsienica Groń

FOT. JERZY BARANOWSKI / PAP



FOT. PAMEL DE VILLE / EAST NEWS

Ksiądz Paweł Łukaszka i jeden z dwóch Polaków grających w najstymniejszej hokejowej lidze świata (NHL) Mariusz Czerkawski.

niecałe 100 m od lodowiska, od piątej klasy był profil sportowy, hokejowy. Te osoby, które nie chodziły do klasy sportowej, też mogły spróbować swoich możliwości na treningach – w jednej grupie rówieśniczej było ponad 20 zawodników. Każdy dążył do tego, żeby doskonalić swoje umiejętności, a to najlepsza możliwa selekcja. Kiedy starsi zawodnicy szli do wojska albo na studia, zasilali inne kluby. Kilku zawodników przeniosło się do Sanoka i tam stworzyli drużynę hokejową, która weszła potem do pierwszej ligi. Kiedy kończyłem karierę i szedłem do seminarium, nasza drużyna zajmowała drugie miejsce w Polsce, z niewielką przewagą nad Sosnowcem, w którym, co zabawne, grało wtedy ośmiu zawodników z Podhala.

Jakie znaczenie dla popularności hokeja miała wspólnota mieszkańców, działaczy, zawodników, która powstała wokół lodowiska?

Nowy Targ liczył wówczas ok. 15-20 tys. mieszkańców. Większość pracowała w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego, które zobowiązały się wspierać hokej. Pomagały utrzymać lodowisko oraz dofinansowywały zawodników. Zakłady zatrudniały około 10 tys. osób z miasta i okolicznych wiosek – sam przez dwa lata, jeszcze w szkole średniej, pracowałem tam jako ślusarz – i wszyscy identyfikowali się z naszym zespołem. Pracownicy odpisywali od swoich pensji symboliczne kwoty na wsparcie drużyny, dostawali bilety na mecze i różne zniżki, więc hala była zawsze pełna kibiców, tworzących niesamowitą atmosferę. Wiele osób miało w rodzinie kogoś, kto grał, kilku chłopaków z okolicznych wiosek też przebiło się do zespołu. Kiedy należało wykonać różne prace przy lodowisku, ludzie chętnie się w nie

angażowali. Gdy zawodnicy Podhala trafili do reprezentacji, ludzie byli z nich dumni, wiedzieli, że to wizytówka miasta, regionu i przede wszystkim częścią naszej ojczyzny. Z kolei dla nas, zawodników, możliwość reprezentowania ojczyzny na mistrzostwach świata czy igrzyskach była nieustychanym zaszczytem.

Ja sam bardzo lubiłem trenować, czasami przychodziłem na lodowisko nawet w nocy. Nie było potrzeby zamykania go czy zakładania alarmów, pracownicy zajmujący się obiektem zawsze byli przyjaźnie nastawieni. Potem powstał nowy budynek, z niewielką salą gimnastyczną i salą ćwiczeń siłowych – dla sportowca to była bajka. W późniejszych czasach, już jako katecheta, przyjeżdżałem tam z młodzieżą, drzwi zawsze stały dla nas otworem i mogliśmy ćwiczyć choćby do północy. To przepiękne wspomnienia. Dzisiaj niestety stan zdrowia nie pozwala mi na taką aktywność.

Czy to, że sport kształtował Księdza charakter, pomogło również w rozwoju duchowym?

Bardzo! Wtedy nie byłem do końca świadomy tego, co przeżywam. Teraz, mając doświadczenie i wiedzę, potrafiałem to opisać i zrozumieć. Sport to ścieżka rozwoju, na której człowiek powinien stawać się coraz bardziej uczciwy, pojmować, że cokolwiek robi, robi dla siebie, ale nie jest to tylko jego, lecz także drugiego człowieka.

Ważną rolę w zespole odgrywa trener. To on uczy, że zawodnicy mają wspierać się nawzajem, być wdzięczni za otrzymane możliwości, przegrywać bez urazy i wygrywać z pokorą. To nie tylko puste słowa: pamiętam sytuację, w której trener usunął najlepszego zawodnika, bo nie zdawał egzaminu z dyscypliny i współpracy. To było dla drużyny wielkie przeżycie i przykład, że praca dla dobra wspólnego, solidarność, przyjaźń muszą być wartościami nadrzędnymi. Dało się to zauważyć, kiedy zawodnicy przechodzili do innych klubów, ale spotykaliśmy się znowu w reprezentacji. Łączyły nas przyjaźń i Podhale. Prawdziwie wielcy zawodnicy rozumieją, że na sukces składają się praca, wysiłek i poświęcenie całej drużyny.

Kariere sportową zakończył Ksiądz z chwilą wstąpienia do seminarium. Czy w trakcie nauki i pobytu w Krakowie chodził Ksiądz na łyżwy?

Nie, przez pierwsze cztery lata nie pojawiałem się wcale na lodzie. Dopiero jako diakon wróciłem na taflę i założyłem sprzęt, jednak z dużym dystansem. Jeszcze trochę później podjąłem grę z drużyną oldbojów, brakowało również bramkarza w drużynie Podhala i na kilka spotkań wypełniłem to miejsce. Jako ksiądz chodziłem w Krakowie na lodowisko ćwiczyć z oldbojami i juniorami, trenowałem też bramkarzy.



Ksiądz Paweł Łukaszka (z prawej) i Marek Batkiewicz (olimpijczyk z Albertville w 1992 r.) na nowotarskim lodowisku. 16 listopada 2013 r.

FOT. MICHAŁ ADAMOWSKI / REPORTER / EAST NEWS

Paryż po raz trzeci

Pomiędzy 26 lipca a 11 sierpnia 2024 r. we francuskiej stolicy rywalizować będą sportowcy z całego świata. Wśród nich przedstawiciele dyscyplin dotąd niszowych, związanych z kulturą uliczną.

Paryskie początki

Pierwsze igrzyska w Paryżu odbyły się w roku 1900. Do olimpijskiej rywalizacji stanęły wówczas po raz pierwszy kobiety – tenisistki i golfistki. Jednak Igrzyska II Olimpiady, zorganizowane w ramach wystawy światowej, rozłożone w czasie (od maja do października), słabo rozreklamowane i przeprowadzone na nieodpowiednio przygotowanych obiektach, oceniano źle. Program poszerzono o kilka dziwnych dyscyplin, spośród których najczarniejszymi zgłoskami zapisała się rywalizacja w strzelaniu do żywych gołębi. Ale nie brakowało innych, równie „egzotycznych”, takich jak pływanie z przeszkodami.

Igrzyska te stały się dla Francuza Pierre'a de Coubertina, pomysłodawcy nowożytnych igrzysk, solą w oku – nie tak wyobrażał sobie olimpizm w wydaniu swoich rodaków. 24 lata później Paryż otrzymał szansę na naprawę błędów i ją wykorzystał. Program zawodów ponownie poszerzono, dodając kilka konkurencji, m.in. w pływaniu, strzelectwie czy wioślarstwie. Nie zabrakło również wateków lokalnych: na olimpijskiej arenie publika przypatrywała się zmaganiom zawodników savate, XVII-wiecznej francuskiej sztuki walki, uprawianej początkowo w środowisku arystokratycznym, potem przez marynarzy. To właśnie na tych igrzyskach zadebiutowała reprezentacja Polski.

Czas zmian

Sto lat po zamknięciu Igrzysk VIII Olimpiady do stolicy Francji znów przyjadą sportowcy. Decyzja o przyznaniu organizacji igrzysk Paryżowi zapadła 13 września 2017 r. podczas 131. Sesji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Limie. Francuzi przyjęli ją entuzjastycznie. Ich trzecie igrzyska mają być wyjątkowe, mają uchylić kolejne drzwi, w myśl głównego hasła: „Igrzyska szeroko otwarte”. I przede wszystkim mają być atrakcyjne dla młodzieży.

Nad Sekwanę przyjedzie mniej sportowców niż do Tokio; MKOl zapewni rywalizację w 28 głównych i 4 dodatkowych dyscyplinach. Pewną rewolucją będzie też parytet, czyli zrównanie ogólnej liczby startujących kobiet i mężczyzn. Zmiany są pokłosiem „Agendy 2020”, która ma uelastyczyć i unowocześnić ruch olimpijski.

Nowe dyscypliny

Podczas igrzysk w Tokio miliardy ludzi na całym świecie mogły zobaczyć rywalizację w dyscyplinach, które do tej pory nie gościły na igrzyskach, m.in. baseballu, softballu, karate, skateboardingu, surfingu, koszykówce ulicznej (3 × 3) oraz wspinaczce sportowej. Japończycy skorzystali z możliwości, jakie MKOl dał gospodarzom, i dodali te sporty do programu, zwiększając zainteresowanie imprezą wśród młodych ludzi. Paryż robi to samo. Jednak zasady są jasne – aby wprowadzić nową dyscyplinę, inną trzeba usunąć.

Propozycja Francuzów dotyczyła czterech sportów. W programie olimpijskim 2024 pojawią się zatem break-



Zmagania w breakdancie mogliśmy podziwiać podczas tegorocznych Igrzysk Europejskich w Krakowie.

dance oraz – znane już z Tokio – wspinaczka sportowa, jazda na deskorolce i surfing. Wszystkie cztery są powszechnie uprawiane i popularne wśród młodych ludzi. Ich entuzjaści tworzą aktywne grupy w mediach społecznościowych. A o taki właśnie kierunek rozwoju chodzi organizatorom. Bo jeśli igrzyska mają przyciągać kibiców, nadawców i sponsorów, muszą się zmieniać. Thomas Bach, przewodniczący MKOl, w grudniu 2020 r. mówił: *Mamy jasny priorytet, a jest nim wprowadzenie dyscyplin, które są szczególnie popularne wśród młodszych pokoleń. Uwzględniamy również urbanizację sportu.*

Organizatorzy chcieli, by w Paryżu rywalizowano w parkourze – sporcie typowo miejskim i atrakcyjnym dla młodych, do tego wywodzącym się z Francji. Niestety działacze MKOl nie dali im zielonego światła (choć dyrektor sportowy MKOl Kit McConnell przyznał, że „parkour może wiele dać igrzyskom olimpijskim, ale w przyszłości”). Komitet Wykonawczy MKOl odrzucił w sumie 41 zgłoszeń, w tym skoki z klifu i squash.

A które dyscypliny znikną z programu? W Paryżu nie zobaczymy chodziarzy na dystansie 50 km, konkurencji, w której ostatnim mistrzem olimpijskim był Polak, Dawid Tomala. Nie będzie też karate, które pojawiło się na igrzyskach w Tokio. Poza tym znacząco ograniczono rywalizację sztangistów. W strzelectwie pojawi się natomiast skeet drużyn mieszanych. W kajakarstwie rywalizacja będzie toczyć się w ekstremalnym slalomie, który zajmie miejsce klasycznej, mniej widowiskowej odmia-

ny. Nowoczesność zastępuje więc tradycję. Nie wszystkim takie działanie się podoba.

Igrzyska szansą na rozwój

Jak już wspomniano, w Paryżu zadebiutuje breakdance. Ta związana z muzyką hip-hop, ulicą i tańcem forma ruchu wywodzi się z nowojorskich gett. W latach 70. dla wielu młodych ludzi, głównie Afroamerykanów i Latynosów, stała się odskocznią od trudnej codzienności. Dziś to sport globalny, wymagający niestychanej sprawności fizycznej. Tańczący chłopak to „b-boy”, a tańcząca dziewczyna – „b-girl”. Ruchy w breakdancie dzielimy na pięć podstawowych elementów: toprocki, dropy, power moves, freeze'y i footworki. Na całym świecie organizowane są zawody breakdance'owe; do najbardziej znanych należą: Battle of the Year oraz Red Bull BC One.

W 2018 r. breakdance zadebiutował na igrzyskach olimpijskich młodzieży. W Buenos Aires rywalizację mężczyzn wygrał Rosjanin Siergiej „Bumblebee” Czernyszew, który pokonał w finale Martina Lejeune'a z Francji. O medal niemal do końca walczył Polak Piotr „Axel” Winiarski – ostatecznie zajął czwarte miejsce. W rywalizacji kobiet b-girl Ram z Japonii pokonała Kanadyjkę Emmę Misak. Argentyńska impreza przetrzała szlaki Francuzom. Czy debiut breakdance'a na igrzyskach będzie udany? Czy stanie się początkiem rozwoju tej dyscypliny? Czas pokaże. Tomasz Kuliś, rodzimy

CZY WIECIE, ŻE...

...wśród dyscyplin, które gościły na igrzyskach w Paryżu w 1900 r. było pływanie z przeszkodami na dystansie 200 metrów. Zawodnicy musieli w tym czasie wspiąć się na słup, przepłynąć obok kilku łodzi, a następnie zanurkować pod nimi. Wszystko odbywało się w wodach Sekwany, dodatkową przeszkodą był zatem nurt rzeki. W historii igrzysk rywalizowano też kilkukrotnie np. we wspinaczce po linie na czas, a także w przeciąganiu liny.



Australijczyk Frederick Lane, złoty medalista w pływaniu z przeszkodami podczas igrzysk w Paryżu w 1900 r.

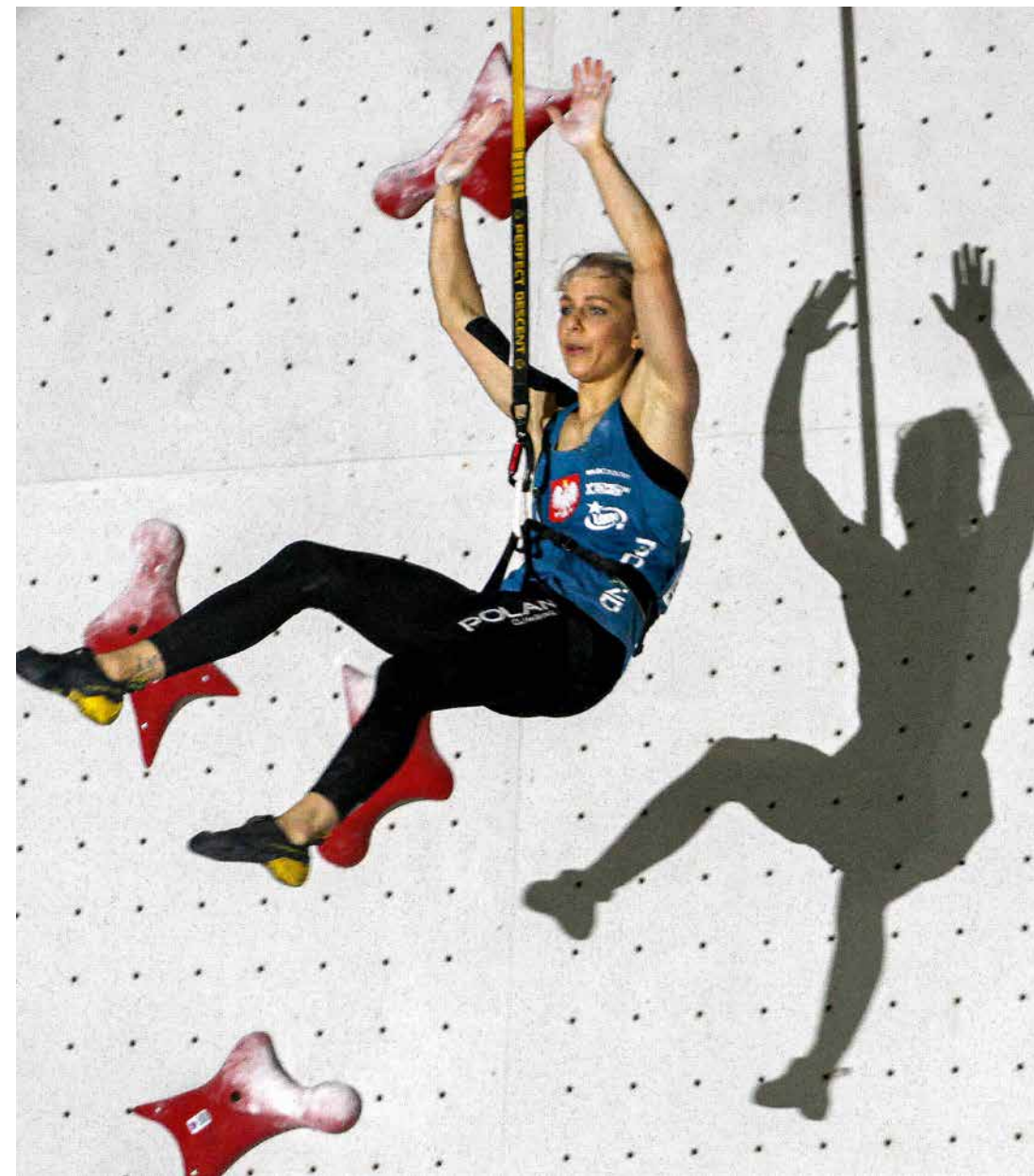
ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

zawodnik, mówił dla telewizji TVN: *Myślę, że breaking na igrzyskach olimpijskich to będzie hit. Jest to trochę kontrowersyjne, że ta dyscyplina została włączona do igrzysk. Ale wydaje mi się, że oprócz tego, że jest widowiskowa, to jest też po prostu totalnie inna.*

Rywalizacja, która może wiele dać

O tym, że wspinaczka sportowa zostanie wprowadzona do programu igrzysk, zdecydowano w 2016 r. Olimpijski debiut dyscypliny odbył się w Tokio. Uczestnicy starto-

wali wówczas tylko w jednej konkurencji, tzw. trójboju, w skład którego wchodzi: wspinaczka na czas, bouldering i prowadzenie. Złote medale wywalczyli Hiszpan Alberto Ginés López oraz Słowenka Janja Garnbret. Polskę reprezentowała Aleksandra Mirostów, która zajęła czwarte miejsce. Po starcie tak pisała na swoim profilu w mediach społecznościowych: *Do Tokio jechałam po finał i rekord olimpijski, a wracam z 4 miejscem i rekordem świata. Lepszego miejsca do jego bicia nie mogłam sobie wyobrazić. Ze swoich pierwszych igrzysk olimpijskich wracam spełniona i dumna z siebie.*



Aleksandra Mirostów – polska nadzieja na medal w Paryżu.

W 2024 r. pula olimpijskich krążków dla wspinaczy wzrosnie: będą rywalizować w dwuboju oraz we wspinaczce na czas. Z tą drugą konkurencją Polacy szanse medalowe, ponieważ rekordzistką świata jest w niej Aleksandra Mirostów. Niedawno na Igrzyskach Europejskich została pokonana przez inną Białą-Czerwoną – Natalię Katucką. Kto wie, być może dzięki tej wewnętrznej rywalizacji z Francji przywieziemy więcej niż jeden medal?

Daleko od paryskich aren

Innymi dyscyplinami, które pozostaną w olimpijskim programie po debiucie w Tokio, są skateboarding, czyli jazda na deskorolce, oraz surfing. Obie dyscypliny mają wspólny mianownik. Historia jazdy na deskorolce zaczęła się bowiem w Kalifornii, gdzie w latach 40. XX w. pozbawieni możliwości mierzenia się z falami surferzy zamontowali w swoich deskach kółka i trenowali na chodnikach. Prawdziwy boom na tę dyscyplinę przypadł na początek XXI w. Skateboarding, podobnie jak breakdance, stał się wtedy sposobem na życie dla wielu młodych ludzi.

Olimpijski debiut deskorolkarzy w Tokio był pokazem siły gospodarzy. W Ariake Urban Sports Park reprezentantki i reprezentanci Japonii zdobyli w sumie trzy z czterech możliwych tytułów mistrzów olimpijskich. Rywalizowano w dwóch konkurencjach: street i park. W Paryżu konkurencje będą podobne. Zawody odbędą się na Placu Zgody, pomiędzy Polami Elizejskimi a ogrodami Tuileries.

Z kolei surferzy i surferki będą rywalizować w... Teahupo'o na Tahiti, w rekordowej odległości od miasta gospodarza! Jeszcze nigdy w historii olimpizmu o medale nie walczyli na tak dalekiej arenie. Chodzi jednak o to, by rywalizujący mieli jak najlepsze warunki startu, a we Francji trudno o stałe, duże fale. ▣ ▤

Źródła:

New sports including breaking confirmed for Paris 2024, 8.12.2020, <https://www.sportresolutions.com/news/view/new-sports-including-breaking-confirmed-for-paris-2024>.

A. Obenreder, *Parkour Not Included In Paris 2024 Olympics*, <https://muvmag.com/parkour-not-included-in-paris-2024-olympics/>.

Paris 2024 Olympic Games: Top five things to know, 27.06.2023, <https://olympics.com/en/news/paris-2024-olympic-games-top-five-things-to-know-tokyo-2020>.

J. Piąsta, *Breaking na igrzyskach olimpijskich. „Jest to trochę kontrowersyjne, trochę szokujące”*, 16.10.2022, <https://dziendobry.tvn.pl/zdrowie/sport-i-fitness/igrzyska-olimpijskie-paryz-2024-breaking-nowa-dyscyplina-st6165983>.

Pościg za wieloletnim marzeniem

Eryk Goczał – 18-latek z Przytkowic – w listopadzie 2022 r. uzyskał prawo jazdy, a już niespełna trzy miesiące później usłyszała o nim cała Polska. Nie, nie spowodował groźnego wypadku. Owszem, jego jazda była niezwykle brawurowa, ale wyłącznie w pozytywnym sensie. Polak wprawił w ostupienie świat sportowego off-roadu, zostając najmłodszym w historii zwycięzcą prestiżowego Rajdu Dakar. I to jako debiutant!

„Zbieram na Dakar”

31 grudnia 2022 r., Arabia Saudyjska, niedaleko Morza Czerwonego. Eryk Goczał zapisuje się w annałach Rajdu Dakar. Debiutuje w nim w roli kierowcy w kategorii samochodów lekkich T4 – SSV (side-by-side vehicle, czyli niedużych, dwuosobowych aut terenowych z napędem 4x4, które cechują się stosunkowo niską wagą, ale dużą szybkością oraz... brakiem szyb). Eryk Goczał ma zaledwie 18 lat i 55 dni – staje się tym samym najmłodszym zawodnikiem w dziejach tej prestiżowej imprezy. Następnego dnia wraz z pilotem Hiszpanem Oriolem Meną kończy pierwszy etap na drugiej pozycji, za znakomitym Rokasem Baciuską. Litwin, który jeszcze w poprzednim sezonie startował w duecie właśnie z Meną, otrzymuje jednak karę, wskutek czego to Polak obejmuje pozycję lidera.

Eryk Goczał w dwóch poprzednich edycjach ekstremalnie trudnego rajdu towarzyszył jego uczestnikom – ojcu Markowi i wujkowi Michałowi – jako mechanik. O Rajdzie Dakar intensywnie myślał już jako kilkulatek, czego dowodem była specjalna skarbonka. *Przyczepiłem na niej nawet taką małą karteczkę, którą sam zrobiłem. Było na niej napisane: „Pieniążki na Dakar”. I tak chodziłem, szukając u rodziców szans na jakieś monety. One w konsekwencji miały mnie przybliżyć do realizacji marzenia – wspominał kierowca.*

Benzyna zamiast krwi

Goczał mówi zresztą, że w jego żyłach płynie raczej benzyna niż krew. Off-roadową jazdą zajmowali się nie tylko jego ojciec i wujek, lecz także dziadek. Sam usiadł za kierownicą quada w wieku kilku lat. Jedną z jazd w terenie skończył się ugrzęźnięciem w błocie. Mały Eryk wyszedł z opresji cało, choć bez butów.

Jeszcze przed osiągnięciem pełnoletniości zbierał pierwsze doświadczenia w prawdziwych rajdach terenowych. W 2019 r. prowadził zerówkę, czyli auto przecierające trasę przed startującymi we właściwej realizacji kierowcami, podczas zawodów Baja Europe. W roku następnym pełnił tę samą funkcję w każdej z czterech rund mistrzostw Polski samochodów terenowych. Potem swój talent ujawnił w imprezach driftingowych. W debiutanckim sezonie 2021 jako najmłodszy w historii uczestnik wziął udział w mistrzostwach kraju w kategorii



Eryk Goczał z pilotem Oriolem Meną.

Pro2, które ukończył na trzecim miejscu. W kolejnej edycji w kategorii Pro1 nie miał sobie równych.

Celem numer jeden pozostał jednak Dakar. *Mój tata i wujek rozpoczęli ten projekt dwa lata temu, ale ja musiałem cierpliwie czekać na to, aż osiągnę wymagany regulaminem wiek. Start całej naszej trójki w Rajdzie Dakar to jak spełnienie rodzinnego marzenia. Myśleliśmy o tym, odkąd pamiętam – mówił Eryk tuż przed debiutem w roli kierowcy. Spełniam moje największe marzenie, co czyni mnie niesamowicie szczęśliwym. Wiem jednak, że ten rajd to nie sprint, a prawdziwy maraton, więc trzeba do tego podejść z pokorą i nigdy się nie poddawać.*

Z rodziną dobrze nie tylko na zdjęciu

Jak powiedział, tak zrobił. Walczył do końca, nie tylko z trudami rajdu – wymagającą trasą, zaskakującym chłodem i usterkami paska klinowego – lecz także z urazem

ręki, którego nabawił się w przedostatniej odsłonie rywalizacji. Mimo prowadzenia po pierwszym etapie i kolejnych zwycięstwach na odcinkach czwartym, dziewiątym i trzynastym, to nie Eryk Goczał, lecz jego konkurent z Litwy był na czele i wydawał się faworytem. Różnica między nimi przed ostatnim etapem wynosiła nieco ponad trzy minuty.

15 stycznia 2023 r., ponownie Arabia Saudyjska, ale już okolice Zatoki Perskiej. Baciuszka nie dowozi zwycięstwa do mety – ma awarię samochodu i traci mnóstwo cennego czasu. Tymczasem Goczał pokonuje trasę niczym błyskawica. Odrabia stratę z przeszło 16-minutową nawiązką.

Niewiarygodne, wygrywamy Rajd Dakar w naszym debiucie! Chciałem w tym moim pierwszym starcie po prostu być na mecie, a my wygrywamy! To był koszmar, nie trudny rajd. Jestem niezmiernie wdzięczny mojej rodzinie, mojemu tacie i wujkowi za to, jak nam pomogli. Postawili nas na pierwszym miejscu i zrobili wszystko,

CZY WIECIE, ŻE...

...Rajd Dakar (dawniej Rajd Paryż–Dakar) to doroczny rajd terenowy, w którym zawodnicy ścigają się przez pustynię, a odcinki rajdu mają po kilkaset kilometrów. Od początku imprezy (1979 r.) zawodnicy rywalizują w dwóch klasach – samochody i motocykle, natomiast w klasie ciężarówek – od 1980 r. W 2009 r. zadebiutowała nowa klasa – quad. Pierwszy start Polaków i polskich samochodów (Jelcz S442) w tym słynnym rajdzie miał miejsce w 1987 r.



„Beduin” – nagroda dla zwycięzcy Rajdu Dakar.

ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

abyśmy wygrali. I to się optaciło. Trudno znaleźć mi w tym momencie słowa. Wygraliśmy Dakar! – mówił po zakończeniu rajdu uradowany 18-latek, najmłodszy zwycięzca w dziejach tej imprezy.

To właśnie ojciec i wujek postanowili w trakcie rajdu, że skoro żaden z nich nie ma już szans na zwycięstwo, zrobią, co mogą, by wygrał najmłodszy z Goczałów. Sam Eryk również postawił wszystko na jedną kartę, podejmując decyzję o maksymalnym ryzyku na dwóch ostatnich etapach. Wspólny, rodzinny wysiłek przyniósł niesamowity rezultat.

To dopiero początek?

Eryk Goczał celująco zdał egzamin rajdowej dojrzałości, zanim jeszcze uzyskał „prawdziwą” międzynarodową maturę. Co ciekawe, wśród zdawanych przez niego przedmiotów nie było języka polskiego ze względu na zbyt małą liczbę chętnych. Język angielski za to bardzo przydał się kierowcy w sprawnej komunikacji z hiszpańskim pilotem.

Mało który nastolatek jest tak popularny w kraju. Goczał nie ukrywa, że to dobry sposób na promocję sportów motorowych wśród młodzieży: *Cieszę mnie dziś rozmowy z dziennikarzami, to, że mogę się dzielić zajątką na motosport, reprezentować tę młodszą generację zawodników. Może też zachęcić kilka osób, by dotarli do tej pięknej przygody, jaką jest motosport.*

Wygląda na to, że fantastyczny sukces to ledwie wstęp do wielkiej kariery. Erykowi marzy się w pełni rodzinne podium. Na razie w sezonie 2023 uprawia driftingowe szaleństwo, i to z sukcesami. W trzeciej rundzie Drift Masters European Championship w Finlandii w lipcu 2023 r. zajął wysokie, czwarte miejsce, przegrywając walkę o trzecią pozycję z Portugalczykiem Diogo Correia. Tymczasem znów zbiera na Dakar, choć już nie do skarbanki. □ □

Źródła:

S. Bromboszcz, *Kim jest 18-letni Eryk Goczał, najmłodszy zwycięzca Rajdu Dakar? Syn milionera, rajdowiec, kaskader i uczeń krakowskiego liceum*, 28.05.2023, <https://gazetakrakowska.pl/kim-jest-18letni-eryk-goczal-najmlodszy-zwyciezca-rajdu-dakar-syn-milionera-rajdowiec-kaskader-i-uczen-krakowskiego-liceum/ar/c2-17205039>.

Kim jest Eryk Goczał – najmłodszy w historii zwycięzca Rajdu Dakar?, 15.01.2023, <https://swiatmotocykli.pl/motocykle/eryk-goczal-ko-to-sylwetka-biografia/>.

M. Piasecki, *Eryk Goczał, zwycięzca Rajdu Dakar, specjalnie dla naTemat: „Kubica był moją dużą inspiracją”*, 4.02.2023, <https://natemat.pl/466166, kim-jest-eryk-goczal-wywiad-z-18-letnim-zwyciezca-rajdu-dakar>.

Rajd Dakar 2023. Eryk Goczał wygrał go „latająco”, 22.01.2023, <https://www.polskieradio.pl/10/499/Artykul/3107067,Rajd-Dakar-2023-Eryk-Goczal-wygral-go-latajaco>.



Radość po zwycięstwie w Arabii Saudyjskiej.

ŹRÓDŁO: PAP / PANORAMIC

Droga na szczyt nie jest łatwa, ale warta swojej ceny

Rozmowa z kajakarką Anną Puławską, srebrną i brązową medalistką olimpijską, wicemistrzynią świata i trzykrotną mistrzynią Europy



FOT. ALBERT ZAWADA / PAP

Anna Puławska prezentuje medale zdobyte na igrzyskach olimpijskich w Tokio w 2021 r.

Czy pamięta pani moment, w którym kajaki panią zafascynowały? Jak zaczęła się ta przygoda?

Wszystko zaczęło się w Mrągowie, moim rodzinnym mieście na Warmii i Mazurach. Razem z siostrą bliźniczką od zawsze widzieliśmy z okna jezioro, obserwowaliśmy trenujących na nim kajakarzy. Pierwsze kroki w kajaku postawiłyśmy jako dziewięcioletki. Wcześniej myślałyśmy, że naszym powołaniem jest muzyka, ponieważ uczęszczaliśmy do szkoły muzycznej. Pewnego dnia nauczycielka powiedziała naszej mamie, że bardzo dobrze radzimy sobie na skrzypcach, ale jesteśmy zbyt ruchliwe, i poleciła zapisanie nas na sport. Mama pomyślała, że bardziej się w nim odnajdziemy. Trenerzy rozpoczęli nabory w naszej szkole, gdy byłyśmy w trzeciej klasie szkoły podstawowej, a my zafascynowałyśmy się kajakami – sportem na wodzie, którą tak uwielbiałyśmy. Na pewno było nam różniej dzięki temu, że trenowałyśmy razem z siostrą, nawzajem się motywowałyśmy.

W pani rodzinie chyba nikt nie uprawiał sportu wyczynowo? Kto zatem zaraził panią pasją do pływania i kajaków?

W rodzinie nikt nigdy nie pływał, byłyśmy z siostrą pierwsze. Na pewno pasją zaraził mnie moi trenerzy z Mrągowa. Dbał o to, by każdy trening był ciekawy, by obozy klubowe były czymś wyjątkowym, za każdym razem nowym, żeby chciało nam się w nich uczestniczyć i dalej trenować. To oni sprawili, że pokochałam ten sport.

Jest pani wszechstronna: pływa na jedynekach, ale ma też w swojej karierze wiele startów (i sukcesów!) w dwójkach i czwórkach. Czy rywalizacja drużynowa jest trudniejsza od startów w pojedynkę?

Jeżeli jestem przygotowana, to w każdej opcji mogę dać z siebie wszystko. Jednak to różne starty. Jedynka to start indywidualny, zostaje się samemu ze sobą,

a w osadach są koleżanki i nie zawsze wszystko zależy od nas. Jeżeli płyniemy z kimś, to także dzięki temu komuś uzyskujemy wyniki.

Czy podczas startów w zespole czuje pani wsparcie koleżanek?

Oczywiście, atmosfera, jaką buduje się w relacji, jest równie istotna na lądzie, jak na wodzie. Jeśli potrafimy dobrze dogadać się na lądzie, to przekładamy dobrą energię na wodę. Pierwsze najważniejsze wyniki zdobyłam z Karoliną Nają, z nią stworzyłam największą więź sportową, ale również prywatnie bardzo się lubimy i dogadujemy bez słów. Śmiejemy się z moją prawdziwą siostrą, że to nasza trzecia siostra. Budowałyśmy mocną i twardą relację także w kajakowej czwórce. Ufamy sobie, wiemy, czego możemy się po sobie spodziewać, dlatego żadna sytuacja na wodzie nie będzie dla nas straszna i będziemy mogły sobie z nią poradzić. Dzięki



CZY WIECIE, ŻE...

...kajakarstwo sportowe to różne dyscypliny, m.in. kajakarstwo klasyczne (regatowe), które zadebiutowało na igrzyskach w 1936 r., oraz kajakarstwo górskie, które do programu olimpijskiego trafiło w 1972 r. Inną, mniej znaną dyscypliną kajakową jest kajak polo (ang. canoe-polo), czyli piłka kajakowa. Mecze rozgrywane są przez dwie pięcioosobowe drużyny, w specjalnych kajakach, na boisku o wymiarach 35 × 23 m. Celem gry jest trafienie piłką do bramki przeciwnika, zawieszonej 2 m nad powierzchnią wody. Mecz ma dwie połowy po 10 minut.



ŹRÓDŁO: 123RF

Mecz piłki kajakowej.

temu wyniki, które osiągamy, są powtarzalne. Mam nadzieję, że tak zostanie.

Dla wielu sportowców start olimpijski to spełnienie marzeń i zwieńczenie długiej i ciężkiej pracy. Jak pani wspomina igrzyska w Tokio? Pamięta pani emocje, które towarzyszyły pani w rywalizacji, a potem w momencie, gdy wchodziła pani na podium?

Te emocje zostają do końca życia, zwłaszcza gdy zdobywa się medale. Zanim pojechałam na igrzyska, inaczej sobie to wyobrażałam. Na miejscu okazało się, że mam w sobie olimpijski spokój, nie stresowałam się. Ufam trenerowi w 100% i wiem, że zawsze światło nas przygotowuje. To mi pomogło przejść przez cały okres przygotowawczy. Płynęłam z Karoliną Nają, dla której to były już trzecie igrzyska, więc doskonale wiedziała, co jest potrzebne, a czego unikać. Podążałam jej śladami. Dla nas największe znaczenie miało to, by ze spokojem i wiarą w swoje możliwości oraz w cykl przygotowane przez trenera walczyć o najwyższe cele.

Pamiętam, że gdy stanęłyśmy z Karoliną na podium w dwójce, zapytałam: „To już są te igrzyska olimpijskie?”. Po zdobyciu srebra były płacz, szczęście, wielkie emocje. Dopiero później do mnie dotarło, że właśnie spełniłam jedno z moich marzeń – bo mam ich jeszcze bardzo dużo. Nie dowierzałam, że to jednak nie jest obciążone stresem – a spodziewałam się go po opowieściach koleżanek, które były wcześniej na

igrzyskach. Emocje, wsparcie kibiców na miejscu i po przylocie do Polski zostaną ze mną do końca życia. Marzenie o pojechaniu na igrzyska i zdobyciu medalu – a nawet dwóch! – ziszcilo się i często wracam do tego wspomnieniami.

A które sukcesy poza olimpijskimi zapamiętała pani najlepiej i dlaczego?

Na drugim miejscu, tuż po igrzyskach, stawiam zdobycie trzech złotych medali na mistrzostwach Europy w Monachium w 2022 r. Zrealizowałam wtedy 100% swoich założeń – na każdym dystansie, na którym startowałam, wywalczyłam złoto.

Jest pani żołnierzem zawodowym Wojska Polskiego. Skąd wzięła się decyzja o służbie zawodowej?

Kiedy pojawiła się informacja o możliwości podjęcia szkolenia wojskowego obejmującego jedynie sportowców, postanowiłyśmy z Karoliną się sprawdzić, spróbować czegoś nowego, czegoś, co będzie odskocznią od codziennego życia, sportowej rutyny, w której od wielu lat jesteśmy. Oczywiście znaczenie miała też możliwość reprezentowania kraju z orzełkiem na piersi, w armii. To nas zmotywowało do podjęcia decyzji o spróbowaniu swoich sił. Wiedziałyśmy, że nasza sprawność fizyczna jest na wysokim poziomie i że sobie poradzimy. Tak było. Po miesiącym szkoleniu wstąpiłyśmy do Armii Mistrzów. Niedługo minę dwa lata.

Sport to nie tylko sukcesy, lecz także ciężka praca, nie zawsze zakończona sukcesem.

Oczywiście, że tak. Każdy sportowiec miewa wloty i upadki, nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Na naszej drodze pojawiają się problemy, których nie chcemy, odpychamy je od siebie, ale nie zawsze mamy na nie wpływ. Porażki sprawiają, że stajemy się silniejsi, uczą nas pokory, poszanowania tego, co robimy. Często przez rutynę zapominamy, jaka to ciężka praca i ile nas kosztuje. A porażka przypomina nam, że warto się zatrzymać, zrobić dwa kroki do tyłu, by potem wykonać jeden potężny skok do góry i nie poddawać się, a także szanować swoje zdrowie i docenić to, że sport to prawie całe nasze życie.

Co doradziłaby pani młodym ludziom, którzy chcieliby spróbować swoich sił w pływaniu na kajakach?

Droga na szczyt nie jest łatwa, ale warta swojej ceny. Sport kształtuje człowieka. Pomaga w byciu lepszą osobą również po zakończeniu kariery sportowej, uczy stawiania czoła wyzwaniom, które znajdują się na naszej drodze, nie tylko tej sportowej, lecz także życiowej. Nie wolno się łatwo poddawać, na początku zawsze jest ciężko, ale później, gdy przychodzą wyniki, pojawiają się wielka satysfakcja i zadowolenie z wykonanej wcześniej pracy. By móc stanąć na najwyższym stopniu podium, z dumą zaśpiewać hymn narodowy i uronić łzę wzruszenia. Dla takich chwil warto trenować. ■



Anna Puławska podczas zawodów Pucharu Świata w Poznaniu w 2022 r. Polka zajęła 2. miejsce w finale K1 na dystansie 500 m.

FOT. JAKUB KACZMARCZYK / PAP

Zdzisław Hoffmann – polski rekordzista trójskoku, którego wciąż nikt nie pokonał

Nazwany przez media „kangurem ze Świebodzina” Zdzisław Hoffmann w 1983 r. zdobył w Helsinkach złoty medal mistrzostw świata, równocześnie ustanawiając rekord Polski w trójskoku (17,42 m). W tym roku minęło 40 lat od legendarnych zawodów w Finlandii, pierwszych w historii oficjalnych mistrzostw świata w lekkoatletyce. Ówczesny rekord pobił później sam Hoffmann, oddając skok o długości 17,53 m na zawodach lekkoatletycznych w Madrycie w 1985 r. Żadnemu Polakowi nie udało się go pobić.

Skok życia

Nagranie z trójskoku mężczyzn z MŚ w Helsinkach w 1983 r. (można je zobaczyć w serwisie YouTube) rozpoczyna najazd kamery na maskotkę kangura na bieżni. Chwilę później widać wypełniony po brzegi stadion i rozgrzewających się sportowców, skąpanych w promieniach sierpniowego słońca. Wieje wiatr, flagi państw uciepione krańca stadionu falują, jakby w rytm miarowych braw kibiców. Do próby przygotowuje się sportowiec w niebieskiej bluzie. Zdejmuje ją, ujawniając plakietkę z numerem startowym 871. To Willie Banks, amerykański faworyt mistrzostw.

Willie Banks, rekordzista świata, skakał sporo dalej – wspomina Hoffmann. Podczas konkursu lubił robić show, zachęcał ludzi, by go wspierali, i chciał od razu pierwszym skokiem wszystkich zaszachować.

Pewny siebie Amerykanin jeszcze nie wie, jak zaskoczy go skromny chłopak w biało-czerwonych barwach. Przed skokiem w pierwszej serii zachęca publikę do braw. Oddaje znakomitą próbę. Przy jego nazwisku pojawia się jedynka. Hoffmann opowiada: Banks od pierwszej serii prowadził, ale nie skoczył daleko, bo 17,18 m. Moja psychika była jednak wystarczająco mocna, by się tym nie przejmować. Ze skoku na skok się poprawiałem, aż w czwartej serii wyrównałem wynik Banksa. Byłem jednak drugi i trochę się wtedy wkurzyłem. Amerykanin, jak na niego, skakał słabo. Czuję, że mogę wylądować dalej, bo już byłem blisko życiówki. I w piątej próbie skoczyłem 17,35 m. Wyszedłem na prowadzenie (...). A że skakałem ostatni w serii, to Banksowi została tylko jedna próba. Prowa-



Zdzisław Hoffmann podczas Memoriału Janusza Kusocińskiego w Warszawie, 1986 r.

FOT. LESZEK FIDUSIEWICZ / PAP

CZY WIECIE, ŻE...

...w trójskoku specjalizuje się także syn Zdzisława Hoffmanna, urodzony w 1989 r. Karol Hoffmann, który jest m.in. czterokrotnym mistrzem Polski, srebrnym medalistą mistrzostw Europy w Amsterdamie (2016) i finalistą igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro (2016).



Karol Hoffmann podczas lekkoatletycznego Memoriału Józefa Żylewicza w Gdańsku, 2021 r.

FOT. ADAM WARZAWA / PAP

dziłem, ale nie mogłem stracić koncentracji, bo rywal mógł spokojnie skoczyć dalej. Tyle że Banks ostatni skok spalił.

Polak już wie, że został zwycięzcą, lecz przed nim jeszcze jeden skok. W jego oczach widać skupienie i motywację, jest skoncentrowany, nie zwraca uwagi na widownię, nie prosi o oklaski. Pamiętam, że patrzyłem na siebie na ogromnym telebimie i nawet przeszedłem swój znak startowy. Wróciłem na miejsce, wystartowałem i takiej wrzawy, takich oklasków kibiców, to nigdy nie słyszałem. Na trybunach było około 55 tysięcy widzów i wszyscy bili brawo w rytm. Skoczyłem bardzo dobrze. Wiedziałem, że wynik jest dobry, ale nie mogłem doczekać się, by przy moim nazwisku pojawiła się jedynka. W końcu się wyświetliła i wtedy wierzyłem, że faktycznie wygrałem. Potem Banks i trzeci Nigeryjczyk Ajayi Agbebaku przyszli mi pogratulować i razem rozpoczęliśmy rundę honorową. Być może my jako skoczkowie byliśmy pierwsi, którzy to zrobili, by podziękować kibicom. Wtedy nie mieliśmy flag, ale za to byłem w dresie z napisem „Polska” na plecach.

Moment celebrowania zdobycia medali wzrusza nawet po 40 latach. Hoffmann i Banks gratulują sobie wzajemnie jak dobrzy znajomi.

Buntownik z nieprzeciętnym talentem

Zdzisław Hoffmann urodził się w 1959 r. w Świebodzinie. Szczególnie ważnym miejscem w rodzinnej miejscowości okazał się dla niego Szkoła Podstawowa nr 1, w której Jarosław Algierski utworzył pierwszą w mieście klasę sportową. Stanie się także trenerem – autorytetem dla młodych. Pokaże im, co to dyscyplina, rywalizacja, czym jest sport. Uczniowie klasy sportowej będą grali w koszykówkę, piłkę ręczną, skakali wzwyż i w dal, biegali niezbyt lubiane „przetaje”, a po zajęciach chodzili na SKS. W ósmej klasie jeden z nich, Zdzisio Hoffmann, zdobędzie tytuł trzeciego najlepszego trójskoczka w Polsce na mistrzostwach młodzieży szkolnej i studenckiej w Warszawie.

Wydawać by się mogło, że po takim sukcesie sportowa kariera nabierze tempa – chłopiec złapie wiatr w żagle i w pełni poświęci się treningom. Stało się inaczej. On sam opowiada: Skończyłem podstawówkę i... nie chciało mi się chodzić na treningi. Przystałem. Woląłem z kolegami iść do lasu, zakładać się, kto szybciej wdrapie się na najwyższe drzewo...

Tu jednak wkroczył Algierski – namówił siostrę Hoffmanna do pedagogicznej rozmowy z bratem, w końcu spotkał się też z ojcem Zdzisława. Tak wspomina to olimpijczyk: Tato przychodzi, mówi, że rozmawiał z trenerem, że mam talent, że może poszedłbym na stadion, zobaczysz... I to mnie przekonało. Poszedłem raz, drugi, piąty, dziesiąty i połąkłem bakcyła.

Nadeszły kolejne sukcesy i wówczas... Algierski cofał się z trenowania trójskoczka. Sam był piłkarzem ręcznym i doszedł do wniosku, że nie jest w stanie lepiej oszlifować lekkoatletycznego diamentu. Zaczął szukać odpowiedniego trenera dla Hoffmanna. Znalazł: w Warszawie. Zdzisław przeniósł się zatem pod skrzydła Andrzeja Lasockiego, a przy okazji trafił do warszawskiego technikum samochodowego – szkoły, o jakiej zawsze marzył. Spełniał pokładane w nim nadzieje: w roku 1978 został mistrzem Polski juniorów, w 1979 zdobył srebrny medal już jako senior. Ostatecznie ma na koncie sześć rekordów Polski w trójskoku (od 17,19 m do 17,53 m).

Olimpijski pech

Trójskoczki dane było wystąpić tylko na jednych igrzyskach olimpijskich – w 1980 r. w Moskwie. 21-letni polski lekkoatleta, mistrz Polski juniorów i wicemistrz seniorów, budził spore nadzieje. Jednak apetyt na sukces nie zdążył się nawet zaostrzyć – Hoffmann odpadł w eliminacjach. Na szczęście wsparcie trenera i środowiska nie pozwoliły mu się zniechęcić. Usłyszał, że zawodnik potrzebuje „obyścia”, że jest młody i dopiero zdobywa doświadczenie w międzynarodowej rywalizacji.



Zdzisław Hoffmann podczas treningu, lata 80. XX w.

Poważnie potraktował te słowa i moskiewska porażka nie podcięła mu skrzydeł. Trenował i rozwijał się. Jeszcze w olimpijskim roku 1980 został halowym mistrzem Polski w trójskoku, a rok oraz trzy lata później potwierdził tytuł na stadionie. Chwilę chwaly przeżył podczas pamiętnych mistrzostw świata w Helsinkach w 1983 r.

Zbliżały się kolejne igrzyska – w Los Angeles w 1984 r. – na które Hoffmann pojechałby jako faworyt. Pojechałby, gdyby w okresie zimnej wojny Polska, wraz z większością krajów bloku socjalistycznego, nie zbojkotowała igrzysk w USA (była to forma odwetu za wcześniejszy bojkot Moskwy przez Zachód). Do momentu, kiedy dowiedziałem się, że nie lecimy na igrzyska, miałem najlepszy wynik na świecie – opowiada Hoffmann. Jak się dowiedziałem, to przestałem trenować. Beznadziejność, bezradność...

Rekord niepobity do dziś

Beznadziejność nie opuściła polskiej ekipy, gdy lekkoatletom nakazano udział w konkurencyjnej dla igrzysk imprezie sportowej organizowanej przez Moskwę – zawodach Przyjaźni-84. Hoffmann, wówczas w wojsku, nie mógł odmówić wyjazdu do Związku Sowieckiego, tym bardziej że nadzieje, jakie wiązał z występem w Los Angeles, były powszechnie znane. Niemniej skakał bez pasji – a to poskutkowało pomówieniem, że zbojkotował start. Zaledwie rok po triumfie w Helsinkach trójskoczek przeżywał najgorsze miesiące w karierze sportowej, a może i w życiu.

Sportowy los miał dla niego jednak jeszcze jedną słoneczną niespodziankę: 4 czerwca 1985 r. w Madrycie Hoffmann oddał skok o długości 17,53 m. Tym samym stał się pierwszym polskim lekkoatletą, który pokonał w trójskoku granicę 17,5 m. I dotychczas jedynym. Jego rekord pozostaje niepobity do dziś. ■

Źródła:

T. Kalemba, *Skok po złoto MŚ, rekord Polski, a teraz sieć mejni samochodowych*, 29.04.2020, <https://przegladSPORTOWY.onet.pl/lekkoatletyka/lekkoatletyka-historia-zdzislawa-hoffmanna/rkdhf1n>.

A. Kalemba, *Zdzisław Hoffmann, mistrz świata w trójskoku: „Bieganie to podstawa każdego sportu”*, 4.03.2020, <https://www.festiwalbiegowy.pl/biegajacy-swiat/zdzislaw-hoffmann-mistrz-swiate-w-trojksoku-bieganie-podstawa-kazdego-sportu>.

S. Kozica, *Zdzisław Hoffmann – kangur ze Świebodzina. Mistrz świata, rekordzista Polski, olimpijczyk w trójskoku*, 23.10.2019, <https://gazetalubuska.pl/zdzislaw-hoffmann-kangur-ze-swiebodzina-mistrz-swiate-rekordzista-polski-olimpijczyk-w-trojksoku-zdjecia/ar/c2-14525303>.

https://www.youtube.com/watch?v=_IG4Mnwx45A

FOT. MECZYSLAW SWIDERSKI / AGENCJA PRZEGLAD SPORTOWY / NEWSPIK.PL

Wembley '73. „Zwycięski remis” polskich Orłów

Pół wieku temu, w październiku 1973 r., piłkarska reprezentacja Polski rozegrała jeden z najważniejszych meczów w historii – o awans do mistrzostw świata w RFN. Polacy grali z Anglikami. Aby dostać się do finałów, wyspiarze musieli zwyciężyć, a Polakom wystarczyło osiągnięcie remisu.

Wcześniejsze zwycięstwa w „Kotle Czarownic”

Anglicy byli faworytami i mało kto spodziewał się sukcesu Biało-Czerwonych. Kilka miesięcy wcześniej, 6 czerwca 1973 r., pokazali jednak najwyższą klasę w piłkarskim starciu z Anglią. Wówczas to po raz pierwszy w historii polskiego futbolu odnieśli nad swymi rywalami zwycięstwo (2:0) na Stadionie Śląskim w Chorzowie, nazwanym przez przybitych kłeską „Kotłem Czarownic”.

26 września na tym samym stadionie polska drużyna stoczyła zwycięski pojedynek z Walią (3:0). Tego dnia w Londynie „Synowie Albionu” rozgromili Austriaków, wbijając do ich bramki siedem goli i nie dając sobie strzelić ani jednego. Po tym brawurowym wyczynie gotowali się na ostateczne starcie z Biało-Czerwonymi. Oba zespoły, polski i angielski, miały się zmierzyć na słynnym londyńskim stadionie Wembley, nazywanym „świętynią futbolu”.

Przygotowania do walki

Polacy nie bali się Anglików i pod czujnym okiem trenera Kazimierza Górskiego zaprawiali się do boju. Najlepszą formą treningu i próbą sił był towarzyski mecz z Holendrami w Rotterdamie, rozgrywany w takim samym składzie, jaki miał zostać wystawiony w Londynie. Remisowy mecz (1:1) na stadionie De Kuip oglądał selekcjoner Anglików Alf Ramsey, ale jego piłkarze nie byli zainteresowani grą Polaków – zdradza Rafał Byrski. Jedna z telewizji chciała bezpłatnie udostępnić angielskiej federacji taśmę z meczu z Holandią. Ramsey zapisał swoich graczy, czy chcą oglądać występ drużyny Górskiego. Ci odmówili. – Wiemy, jak pokonać Polskę – odpowiedzieli sir Alfowi. Czas pokazał, że lekceważenie przeciwnika okazało się dla nich zgubne.

Ostatnie dni przed decydującym meczem minęły polskim piłkarzom na intensywnych treningach w Rembertowie, gdzie nabierali szybkości oraz ćwiczyli się w sztuce ataku pozycyjnego, krycia rywala i zgrania w defensywie. Uczyli się też komunikowania na mięgi, bo dawali sobie sprawę, że wielotysięczny tłum rozgorączkowanych brytyjskich kibiców zagłuszy wszystko swymi okrzykami.

W poniedziałek 15 października po południu Biało-Czerwoni odlecieli z warszawskiego Okęcia do



Reprezentant Anglii Allan Clarke przeszkakuje nad interweniującym Janem Tomaszewskim.

Londynu. Towarzyszył im kontuzjowany Włodzimierz Lubański, napastnik Górnika Zabrze, najbardziej rozpoznawalny w Wielkiej Brytanii polski futbolista, którego w szczególności obawiali się Anglicy. Trener Górski specjalnie trzymał ich w niepewności; do ostatniej chwili nie wiedzieli, czy Lubański aby na pewno nie zagra na Wembley.

W gnieździe wroga

Po przylocie do Anglii polscy piłkarze pierwszy trening odbyli na boisku Arsenalu, bo słynny stadion Chelsea zamknięto przed nimi na trzy spusty. Wytykano im słabość i brak umiejętności, szerzyły się na ich temat niepocholebne opinie. Najbardziej krzywdząca dotknęła polskiego bramkarza Jana Tomaszewskiego, którego trener Derby County Brian Clough w przedmeczowym telewizyjnym studiu nazwał... cyrkowym klaunem w re-

kawicach. Wtórował mu dziennikarz sportowy Jack Rollin – według niego z Polaków jako tako prezentują się na boisku tylko Gorgoń, Deyna i Lato.

Polskie Orły na Wembley

Wydarzenia, które rozegrały się 17 października 1973 r. na najslynniejszym stadionie Europy, stały się udziałem 100 tys. kibiców zgromadzonych na trybunach i 400 milionów widzów z kilkunastu krajów świata. W składzie wychodzącej na boisko jedenastki Orłów Górskiego znaleźli się: Jan Tomaszewski, Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał, Mirosław Bulzacki, Henryk Kasperczak, Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato, Jan Domarski oraz Robert Gadocha.

Od pierwszych minut gry zaznacza się silna przewaga Anglików, którzy usadawiają się po prostu na naszym polu karnym – relacjonował „Dziennik Pol-



CZY WIECIE, ŻE...

...Stadion Śląski w Chorzowie otwarto 67 lat temu, 22 lipca 1956 r. Piłkarska historia stadionu rozpoczęła się w 1957 r. od meczu Polski z ZSRS, podczas którego Gerard Cieślak zdobył dwie bramki. Jednym z najważniejszych wydarzeń w piłkarskiej przeszłości obiektu była wizyta klubu FC Santos z Pele w maju 1960 r. Na „śląskim gigancie” padł również niepokonyty do dziś rekord frekwencji. W 1963 r. podczas meczu Górnik Zabrze–Austria Wiedeń na trybunach zasiadło blisko 120 tys. widzów.



Mecz Pucharu Europy Mistrzów Krajowych pomiędzy Górnikiem Zabrze a Austrią Wiedeń w 1963 r.

FOT. MAREK KONDRACKI / PAP

ski”. Polacy ograniczają się do obrony, w której zresztą okazują się znakomici. Ale najwyższa nota należy się Tomaszewskiemu, który wspaniałymi paradami broni w beznadziejnych, zdawałoby się, sytuacjach. W 18. minucie gry po rzucie wolnym, bitym przez Anglików z odległości ok. 30 m za faul Bulzackiego, naszemu bramkarzowi przychodzi w sukurs słupek. Ostatni kwadrans gry przed przerwą przynosi wzmoczenie się nacisku gospodarzy. Przeprowadzają oni jeden po drugim szybkie ataki, kończone zaskakującymi strzałami. Tomaszewski dwoi się i troi, nie pozwala się zaskoczyć. Gra z nieomylnym wyczuciem, parując piłkę idącą do siatki już na przedpolu bądź też na linii bramkowej.

W pierwszej części meczu przewaga Anglików była przytłaczająca. To oni nieustannie atakowali polską bramkę, podczas gdy do ich siatki próbował strzelić jedynie Deyna. Polacy trzymali się jednak mocno i z zacięciem bronili swojej połowy boiska. Bezbramkowy remis po pierwszej połowie bez wątpienia podbudował Biało-Czerwonych. Podczas przerwy Górski dopingował swoich zawodników do walki: Wytrzymaliście 45 minut, to wytrzymacie i drugie.

Polski gol wszech czasów

Polacy nie tylko wytrzymali ataki Anglików, ale przejęli inicjatywę i pokazali najwyższą klasę. Z każdą minutą poczuli sobie coraz śmielej, wkraczając raz po raz na połowę przeciwnika. W 55. minucie doszło do sensacyjnej akcji: pomocnik polskiej reprezentacji Henryk Kasperczak odebrał Anglikom piłkę i podał ją do Grzegorza Lato, a ten, uwolniwszy się od Normana Huntera, pognął co tchu w kierunku bramki Petera Shiltona. Po jego lewej stronie biegł Robert Gadocha, pilnowany przez dwóch Anglików, a po prawej mający całkowitą swobodę ruchów Jan Domarski. Jedna sekunda i piłka od Lato trafiła do Domarskiego, ten zaś z linii pola karnego, w pełnym biegu, wbił ją do bramki przeciwnika, tak że przeszła pod brzuchem angielskiego bramkarza. Polska objęła prowadzenie! Dziennik „The Times” uznał później gol Domarskiego za jedną z 50 najważniejszych bramek w dziejach futbolu.

Rozsierzeni Anglicy przypuścili szturm na bramkę Tomaszewskiego i... udaje im się umieścić piłkę w siatce, jednak przy pomocy ręki. Gol nie został więc uznany. Do-

piero w 63. minucie gry rywale zdobyli bramkę ze strzału karnego, który sędzia przyznał im za faul Adama Musiała na Martinie Petersie.

Gra była coraz bardziej wyrównana. Anglicy atakowali zapamiętale, ale i Polacy czynili liczne wypadki w pobliżu pola karnego przeciwnika, w czym prym wiodł Grzegorz Lato. Gdy kilkanaście minut przed końcem uciekł angielskim obrońcom i biegł z piłką wprost na bramkę przeciwników, Roy McFarland złapał go bezceremonialnie za koszulkę i brutalnie sfaulował. Za to przewinienie otrzymał od sędziego tylko żółtą kartkę.

Do ostatniej minuty meczu Jan Tomaszewski skutecznie strzegł bramki. W ciągu kilkunastu minut z „cyrkowego klauna” przeobraził się w oczach rywali w „człowieka, który zatrzymał Anglię”.

Trener Górski nie mógł znieść ogromnego napięcia; kilka minut przed końcem meczu opuścił ławkę rezerwowych i zniknął w tunelu prowadzącym do szatni – to pierwszy i jedyny mecz w selekcyjnej karierze Górskiego, którego słynny trener nie obejrzał do końca.

Zwycięzca bierze wszystko

Remis dla Anglików oznaczał kłeskę, a dla Polaków – zwycięstwo: awans do turnieju mistrzostw świata w RFN w 1974 r. Był to zatem „zwycięski remis”.

Winner takes all – zwycięzca bierze wszystko – komentował Wiktor Osiatyński. W polskiej szatni, na prawo, ły radości i szczęścia. Pod szatnią tłumy dziennikarzy. Pytania, wywiady, gratulacje, uśmiechy. Na lewo, pod szatnią angielską, dwóch porządkowych i kilku dziennikarzy. (...) Tutaj – milczenie nieco przypominające atmosferę sprzed dwóch godzin w szatni naprzeciwko. Na stole przygotowane przed meczem pudło z szampianem, którego nikt nie będzie otwierał. Norman Hunter nadal płacze. McFarland milczy. Madeley i Clarke mają łzy w oczach. Channon rzuca niezbyt przychylnie spojrzenie na Ramseya i kolegów. Tylko Chivers nuci coś pod nosem.

Nazajutrz o meczu, który dla Anglików okazał się katastrofalny w skutkach, pisały wszystkie londyńskie gazety w żałobnych obwódkach. Reprezentanci Wielkiej Brytanii byli zdruzgotani i czuli się upokorzeni. Tomaszewski natomiast jeszcze tego samego poranka mógł

ogłądać się w każdym londyńskim dzienniku jak w lustrze. Jego twarz była wszędzie. Wtedy dopiero uświadamiał sobie wyjątkową rangę piłkarskiego wyczynu Polaków.

Po gwizdku kończącym mecz na pustych od dwóch godzin ulicach polskich miast zawrzało. Zaczęły się tworzyć spontaniczne pochody świętujących wielki tryumf polskiego piłkarstwa. W Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu wznoszono biało-czerwone flagi, wiwatowano na cześć piłkarzy, przy blaskach pochodni radoowano się ze zwycięstwa jedenastki.

Po trzecie miejsce na mundialu

Remis w meczu z Anglikami zaprowadził Polaków do finałów mistrzostw świata. Szli w nich jak burza – najpierw zwyciężyli Argentynę (3:2), potem brawurowo pokonali Haiti (7:0), wreszcie zatryumfowali nad Włochami (2:1), eliminując ich z dalszej gry. Na kolejnym etapie zmagania drużyna Górskiego pokonała Szwecję (1:0) i Jugosławię (2:1). Dopiero spotkanie z gospodarzem (RFN) zakończyło się dla Biało-Czerwonych porażką (0:1) – w słynnym „mecz na wodzie”, nazwanym tak od warunków panujących na boisku po ulewnym deszczu. Ostatecznie Polakom przypadła w udziale walka o trzecie miejsce z faworytem mistrzostw: Brazylią. W tym starciu to Grzegorz Lato – król strzelców niemieckiego mundialu – zdobył upragnionego gola, który zapewnił Polakom zwycięstwo.

Źródła:

R. Byrski, *Za kulisami Wembley'73*, 17.10.2022, <https://www.laczynaspilka.pl/biblioteka/mecze/anglia-polska-11-17101973>.

M. Filek, *Kartki z historii sportu*, Poznań 2012.

Nasza reprezentacja piłkarska w finale mistrzostw świata. Bramkarz Tomaszewski bohaterem meczu, „Dziennik Polski” 1973, nr 247.

K. Szujewski, *Życie sportowe w PRL*, Warszawa 2014.

Wielkie przeżycia i ogromny sukces, „Dziennik Polski” 1973, nr 247.

P. Wilamowski, *Sensacja na Wembley! Mecz Anglia – Polska z 17 X 1973 r. w świetle polskiej prasy*, 15.10.2013, <https://histmag.org/Sensacja-na-Wembley-Mecz-Anglia-Polska-z-17-X-1973-r.-w-swietle-polskiej-prasy-8548>.



Wydawca: Fundacja Instytut Łukasiewicza
ul. Jaskółcza 4/1, 30-105 Kraków, tel. 12 340 93 70, fax 12 340 93 71
e-mail: info@instytutlukasiewicza.pl
www.instytutlukasiewicza.pl

Zespół redakcyjny: Maciej Zdziarski, Agnieszka Kowalczyk, Przemysław Mazur, Filip Paluch, Magdalena Pawłowicz, Grzegorz Skatka, Magdalena Stokłosa, Dorota Stolecka, Aleksandra Wójcik
Autoryzowani do współpracy: Marta Bosak, Marta Paluch, Tomasz Sowa
Projekt graficzny i skład: Jacek Zwolski, Tomasz Żytko
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Sp. z o.o.

Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”.



Ministerstwo Sportu i Turystyki

Nazwa zadania: Dofinansowanie zadań z zakresu upowszechniania sportu realizowanych przez fundacje działające w obszarze kultury fizycznej.

Nie ma co się przejmować porażkami, tylko robić swoje

Wywiad z **Dominikiem Kopciem**, drugim najszybszym stumetrowcem w historii polskiego sprintu

Jak to się stało, że został pan lekkoatletą sprinterem?

Zacząłem się na lekcji WF-u. Podszedł do mnie nauczyciel i zapytał, czy nie chciałbym spróbować swoich sił w biegach. Pierwsze treningi były naprawdę ciężkie i nie polubiłem biegania, ale poznałem tam fajną grupkę ludzi, z którymi chciałem spędzać czas, wspólnie trenować. W soboty mieliśmy zawsze długie i ciężkie bieganie i często wymyślałem, że nie mogę przyjechać na trening, bo mam pomagać rodzicom albo coś mnie boli. Zamiłowanie do sportu pojawiło się dopiero po jakimś sukcesie na zawodach rangi wojewódzkiej.

Początkowo nie byłem też przekonany do dystansu 100 m, wolałem dłuższe biegi. Jednak trener mówił, że jestem idealnym sprinterem. Nie wiem, co we mnie widział, bo byłem wolny. Na swoich pierwszych zawodach w wieku 14 czy 15 lat pobiegłem 13,20 sek. – taki wynik nie powalał. Dziś w sprincie młodzicy biegają bardzo, bardzo szybko, dziewczyny mają lepsze czasy. Ale mimo to trener coś we mnie dostrzegł. Później wyniki przychodziły mi z łatwością, potrafiłem poprawić się w jeden sezon o sekundę, a na tak krótkim dystansie to naprawdę dużo. I doszedłem do poziomu, na którym jestem dzisiaj.

Czy w wieku szkolnym porównywał się pan często z innymi zawodnikami?

Tak. Pamiętam, że pojechałem na jakieś zawody do większego miasta i każdy sprinter, który biegł poniżej 11 sek., to było dla mnie wielkie „wow”. Też chciałem biegać tak szybko.

Od 1984 r. słynne 10 sek. Mariana Woronina stało się magiczną granicą i celem dla sprinterów. W czerwcu tego roku na mityngu w Dessau-Rosslau był pan blisko pobicia tego prawie 40-letniego rekordu – osiągnął pan czas 10,05 sek. Jakie to uczucie?

Na samym początku złość – tak niewiele brakowało! Gdyby delikatnie zawiąło mi w plecy, to prawdopodobnie mój rekord życiowy byłby już bardzo blisko rekordu Polski. Teraz to jest 0,05 sek. różnicy, ale na 100 m to sporo. Jednak potem ucieszyłem się z wyniku, bo oznacza, że jestem blisko pokonania tej magicznej bariery.

Po tym starcie mówiono, że pobicie rekordu to tylko kwestia czasu. Wpadłem w ten medialny wir i zamiast skupić się na tym, co mam robić, podchodziłem do tego zbyt pewnie. Kubeł zimnej wody wylano mi na głowę kilka dni później na Igrzyskach Europejskich w Chorzowie, bo tam miałem wynik 10,21 sek., daleki od rekordu życiowego. Ale przecież gdyby nie start w Dessau, to wynik z Chorzowa byłby fenomenalny, bo jedynie o 0,01 sek. gorszy od mojego poprzedniego rekordu życiowego.

Z którymi sukcesami wiążą się dla pana największe emocje?

Na pewno dużo mi dał brązowy medal mistrzostw Europy w Monachium w 2022 r. w sztafecie, bo wtedy uwierzyłem w siebie i w to, że możemy walczyć z najlepszymi w Europie. To dodało mi pewności siebie. Ale też pechowe czwarte miejsce na 60 m na halowych mistrzostwach Europy w Stambule. Zabrakło mi 0,001 sek. do brązu. Z drugiej strony udowodniłem sobie wówczas, że mogę rywalizować z najlepszymi w Europie jak równy z równym.

Zawodnicy w wieku szkolnym często nie radzą sobie z porażkami, które są nieodłączną częścią sportu. Co w takich sytuacjach pana zdaniem stanowi najlepszą motywację do dalszych treningów?

Muszą pamiętać, że to dopiero początek ich przygody ze sportem. W tym wieku zawodnicy powinni się nim bawić, czerpać z niego jak najwięcej radości i uczyć się, że w sporcie raz jest lepiej, raz gorzej. Ze swoich początków pamiętam, że do trenera przychodziło dużo zawodników, lecz wielu z nich trenowało krótko, zniechęcało się po nieudanym starcie w zawodach. A przecież każdy ma inne predyspozycje – jeden będzie musiał trenować dwa-trzy lata, drugi osiągnie to samo w parę miesięcy. I tym się nie ma co przejmować, tylko trzeba robić swoje. Młodzi zawodnicy często od razu chcą mieć wszystko, zdobywać medale na najważniejszych imprezach. Po jednej porażce się zniechęcają i odpuszczają sobie treningi, bo uważają, że to nie dla nich. A do sukcesu trzeba zmierzać powoli.



FOT. ADAM WARŻAWA / PAP

Dominik Kopec podczas lekkoatletycznych mistrzostw świata w Budapeszcie w sierpniu br.

Często przychodzi on zresztą dopiero w wieku seniorskim. Jestem tego najlepszym przykładem: pierwszy medal juniorski uciekł mi na międzynarodowej imprezie, bo dzień przed wylotem na zawody doznałem kontuzji. A chłopaki zdobyli wtedy medal w sztafecie 4 × 100 m mistrzostw Europy juniorów. Później były młodzieżowe mistrzostwa Europy w Tallinnie – i piąte miejsce. Moje pierwsze starty w sztafecie jako seniora to też były same porażki. Ale nie poddawałem się, wiedziałem, co mam robić. Trenowałem i sukces w końcu przyszedł.

Dlaczego warto trenować lekkoatletykę?

Lekkoatletyka stanowi podstawę każdego sportu, bo treningi to tak naprawdę ogólnorozwojówka. Poza tym każdy sport buduje charakter, samodyscyplinę. Wiem po sobie: gdy przeprowadziłem się do Lublina, miałem problem, żeby zrobić sobie jakiś posiłek, wstać na trening. Jednak wiedziałem, że trzeba się zebrać na konkretną godzinę i iść trenować.

Powiedział pan, że treningi kształtują charakter. To dobre podsumowanie naszej rozmowy. Mam nastoletnią córkę i wiem, że wielu jej rówieśników lekcje WF-u traktuje jako te najmniej potrzebne.

To częsty problem w szkołach: uczniowie przynoszą zwolnienia i WF jest odstawiany na bok. Tak nie powinno być, tym bardziej że żyjemy w czasach internetu, gdy dzieci siedzą w domach przed komputerami czy smartfonami i w rezultacie pojawiają się różne kłopoty ze zdrowiem, z otyłością. Niekoniecznie od razu, ale jeśli ktoś za młodu nie ma żadnej styczności ze sportem, to problemy mogą pojawić się w dorosłości. ■